



Od kuchni do laboratorium – droga profesora Grzonki. Rozmowa w ramach projektu „Narracje o Uniwersytecie Gdańskim”

Zbigniew Grzonka

Dominik Bień
ORCID: 0000-0001-7033-8216

Dominik Bień: Panie Rektorze, jak to się stało, że trafił Pan na Wydział Chemii i został chemikiem? Najpierw jako student na Politechnice Gdańskiej, a później pracownik w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku.

Zbigniew Grzonka: Odpowiedź nie jest prosta, dlatego że jeżeli powiem, że takim impulsem była śmierć ojca, kiedy miałem 10 lat, to zabrzmiałoby dziwnie, ale tak rzeczywiście było. Mama musiała pójść do pracy, było nas czterech braci i jeszcze wujek mamy. W związku z tym ktoś musiał przygotowywać posiłki. Siłą rzeczy padło na mnie, tym bardziej, że starszy brat zawędrował do Gdańska. Zaczęłam gotować, mając 11–12 lat, i powiedziałbym to był taki początek moich doświadczeń chemicznych, oczywiście w sensie kulinarnym.

Potem w szkole średniej miałem niezłą nauczycielkę chemii i tak to się toczyło. W efekcie już w dziewiątej klasie byłem zdecydowany pójść na chemię na Politechnikę. Zdawałem na Wydział Chemiczny Politechniki Gdańskiej, a ponieważ miałem dyplom przodownika nauki i pracy społecznej, miałem wstęp wolny na studia chemiczne, które trwały 5,5 roku. Po studiach pojechaliśmy razem z żoną, bezpośrednio po ich ukończeniu, by odpracowywać stypendium fundowane przez zakład pracy. Tym zakładem był Kostrzyński Zakład Celulozy w Kostrzynie nad Odrą. Tam spędziliśmy 2 lata, odbywając staż, ale z różnych względów praca ta nam nie odpowiadała. Zdecydowaliśmy się wrócić do Gdańska, zwłaszcza że żona miała rodziców, którzy tu mieszkali.

Oczywiście po przyjeździe zacząłem szukać pracy. Zdecydowałem się przyjąć propozycję ówczesnego docenta Bogdana Liberka, mego przyszłego promotora. Tak się zaczęła przygoda z chemią na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. W dość krótkim czasie, bo w około 3 lat, zrobiłem doktorat pod kierunkiem Bogdana Liberka. Dalej kontynuowałem już typową karierę akademicką, z tym że dwa lata po doktoracie przypadła właśnie inauguracja Uniwersytetu Gdańskiego. Doktorat obroniłem w 1968 roku. Uczestniczyłem w tej inauguracji, która była zorganizowana w Teatrze Wybrzeże. Byłem nieco poruszony faktem, że WSP zmienia się w Uniwersytet Gdański. Miałem pełną świadomość, że niektóre wydziały, instytuty i katedry miały rangę uniwersytecką i to nie była taka zmiana szyldu, tylko faktycznie było to potwierdzenie akademickości uczelni.

DB: Wracając jeszcze do wcześniejszych lat. Panie Rektorze, rozpoczął Pan pracę w latach 60. w Wyższej Szkole Pedagogicznej.

ZG: Tak, w 1963 roku.

DB: Czy ten pierwiastek pedagogiczny, to znaczy ten element związany z tym, że jednak była to szkoła pedagogiczna, której celem było kształcenie nauczycieli – czy on był jakoś istotny w tamtym czasie? Czy uczelnia była już bardziej zbliżona do uczelni akademickiej prowadzącej badania?

ZG: Na kierunkach eksperymentalnych „pedagogiczności” się nie wyczuwało. Było oczywiście kształcenie nauczycieli, co tu dużo ukrywać, mieliśmy obowiązek kształcić, również w trybie zaocznym, ale ja bym powiedział, że wówczas mój kierunek – chemia – był na dobrym poziomie uniwersyteckim. Miał szereg wybitnych postaci, znanych nie tylko w kraju, ale i na świecie. Tak więc uważam, że był to dobry akademicki instytut.

DB: Wspomniał Pan, że powołanie UG to nie była tylko taka zmiana szyldu. Faktycznie dało się wyczuć tę zmianę w społeczności, również w mieście? Było czuć, że to jest istotne dla otoczenia, czy było to raczej ważne tylko dla naukowców, może dla studentów?

ZG: Myślę, że to było ważne dla Gdańska, bo miasto starało się o uniwersytet wielokrotnie. Istotnym momentem było utworzenie Gimnazjum Akademickiego w XVI wieku. Zresztą w czasach Królestwa Polskiego, kiedy próbowano powołać uniwersytet w Gdańsku, to powstał on w Królewcu. Myślę, że Gdańskowi należał się uniwersytet dawno, a 1970 rok był tego dopełnieniem. Pechowo, że ten rok źle zasłużył się w polskim środowisku akademickim. Wiadomo przecież co się działo, szczególnie w grudniu, ale nie wpływało to już na pracę i dalsze tworzenie uniwersytetu.

DB: A teraz przeskoczmy 20 lat, to znaczy do momentu, w którym został Pan wybrany na funkcję rektora Uniwersytetu Gdańskiego. Był to czas trudny, jeżeli chodzi o Polskę. Czas transformacji i gospodarczej, i ustrojowej, takiego silnego przeskoku. Jak wyglądała Pańska kadencja? Czy dało się to odczuć? Jakie były wyzwania, jakie sukcesy?

ZG: O tym szerzej za chwilę opowiem, ale najpierw wrócę do nieco wcześniejszych czasów, kiedy nabierałem doświadczenia w karierze akademickiej. Byłem już adiunktem po rocznym stażu naukowym w Stanach Zjednoczonych, kiedy dostałem propozycję objęcia stanowiska zastępcy dyrektora Instytutu Chemii ds. naukowych. W ten sposób zostałem wciągnięty w pracę organizacyjną w macierzystym Instytucie Chemii. Potem przez dwie kadencje byłem wybierany na dyrektora instytutu. Kolejna kadencja to już stanowisko dziekana Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii UG. Zresztą w czasie mojej kadencji zaczęły się dyskusje o wydzieleniu Wydziału Chemii z Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii, dlatego że Instytut Chemii spełniał wszelkie kryteria bycia wydziałem. Miał uprawnienia do nadawania nie tylko stopnia doktora, ale i doktora habilitowanego. Miał bardzo dobry dorobek naukowy i wybitne postaci.

DB: Zresztą budynek Matematyki i Fizyki był tutaj w Oliwie, a Chemii przy ul. Sobieskiego.

ZG: Chemia miała się w niedługim czasie przenieść również tutaj, nawet zaczęto wlewać fundamenty, ale przyszły lata chude. W latach 70. wszystko stanęło. W efekcie zostaliśmy na Sobieskiego. Na początku były tam jeszcze inne katedry UG, ale potem pozostał już tylko Instytut Chemii. Jednym słowem byłem przygotowywany do pracy organizacyjnej, ale to nie oznacza, że zamierzałem kandydować na stanowisko rektora. Nawet było tak, że w 1990 roku na początku wystąpiłem z wnioskiem do rektora o roczny urlop naukowy, bo miałem już dogadany kolejny staż naukowy w Stanach i w efekcie ten urlop uzyskałem. We wrześniu, jak zmieniła się ustawa o szkolnictwie wyższym, zaczęły się rozmowy ze mną na temat ewentualnego kandydowania. Namawiały mnie do tego osoby, które były autorytetami, m.in. prof. Janusz Sokołowski, prof. Robert Głębocki, który był wcześniej rektorem, ale również mój poprzednik prof. Czesław Jackowiak, który po pierwszej kadencji nie zamierzał dalej startować. Po długich namowach wyraziłem zgodę, wycofałem wniosek o urlop naukowy i stanąłem w szranki w wyścigu o stanowisko rektora. Miałem pełną świadomość, że zmieniają się czasy. Weszła w życie nowa ustawa, która zmieniła zupełnie życie akademickie. Chodziło mi o to, żeby będąc wybranym, dobrać sobie takich współpracowników, którzy nie tylko podzielali moje poglądy, ale byłiby również pomocni w reformowaniu uczelni. Uczelnia wymagała reformy, co do tego nie było wątpliwości.

Kandydatem na prorektora został Maciej Żylicz, który wprawdzie nie chciał kandydować, ale po paru rozmowach ze mną i namowach profesora Głębockiego, który był jego przyjacielem, zgodził się. Drugim kandydatem na prorektora był profesor Brunon Synak z Wydziału Nauk Społecznych, który szybko się zgodził, bo pełnił tę funkcję za czasów profesora Taylora. Miałem problem z trzecim kandydatem, bo wówczas było trzech prorektorów. Chodziło o prorektora ds. studenckich. Nie znałem na tyle całego środowiska akademickiego na uniwersytecie, żeby móc poszukiwać najwłaściwszego kandydata. Tu z pomocą przyszedł mi prof. Czesław Jackowiak, czyli poprzednik na stanowisku rektora, który podsunął mi kandydaturę Pawła Adamowicza. On był rok po studiach, a studenci wówczas byli pełni wigoru, nie tylko

do tworzenia, ale również czasami do burzenia. Miałbym problem, gdyby to nie był kandydat, który zapanuje nad bracią studencką. Profesor Jackowiak podsunął mi kandydaturę Pawła Adamowicza, mówiąc: „Słuchaj, to będzie dobry kandydat. Ja go dobrze poznałem nie tylko jako absolwenta Wydziału Prawa, ale również jako przewodniczącego komitetu strajkowego rok wcześniej, kiedy doskonale się wywiązał z zadań”. Miał wszelkie cechy właśnie przewodniczącego braci studenckiej. Problem polegał na tym, że Adamowicza nie było w Polsce. Był wówczas na dwutygodniowym wyjeździe w Stanach, więc zadzwoniłem do jego mamy, prosząc, że jak tylko wróci, bo miał wrócić przed wyborami, żeby się ze mną skontaktował. Po powrocie skontaktował się, zaprosiłem go, jeszcze jako urzędujący dziekan, do dziekanatu Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii, gdzie odbywałem wszystkie rozmowy. Wyłuszczyłem mu, na czym problem polega. On się zżymał, że, po pierwsze, jest tylko magistrem, po drugie, nie ma takiego doświadczenia, żeby pełnić funkcję prorektora, ale po dwugodzinnej rozmowie przekonałem go. W efekcie stanął do wyborów. Oczywiście wszyscy moi kandydaci uzyskali bardzo szybko akceptację kolegium elektorskiego.

Może to zabrzmieć źle, ale rzeczywiście trzeba było usiąść i zacząć myśleć, co należałoby zmienić. Nowa ustawa dawała wiele możliwości zmian, ale część trzeba było wymyślić, tak aby były zgodne z ustawą i żeby rzeczywiście reformowała uczelnię. Spośród takich spraw, które były związane z nową ustawą, to wspomnę chociażby możliwość utworzenia Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii. W ustawie było zapisane, że uczelnie mogą wspólnie organizować taki wydział. Skontaktowałem się z rektorem Akademii Medycznej profesorem Stefanem Angielskim oraz z rektorem Politechniki profesorem Edmundem Wittbrodtem. Zresztą tu muszę od razu zrobić dygresję. Mianowicie, zanim jeszcze objąłem nową funkcję, zadzwonił do mnie prof. Wittbrodt, który był już wybranym rektorem Politechniki Gdańskiej. Uzgodniliśmy w rozmowie, że będziemy robić wszystko, żeby nasze uczelnie współpracowały bardzo blisko, wykorzystywały nasze możliwości, a jednocześnie robiły coś, co tylko przy współpracy z innymi uczelniami jest możliwe. Nasze rozmowy doprowadziły do decyzji o powołaniu Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii, ale tylko Akademii Medycznej i Uniwersytetu Gdańskiego, dlatego że Wydział Chemiczny Politechniki Gdańskiej, który miał być tym trzecim partnerem, zdecydował, że sam będzie tworzył kierunek Biotechnologii, co nie dało w przyszłości spodziewanych korzyści. Natomiast nasz Międzyuczelniany Wydział Biotechnologii od samego początku był najlepszym tego typu wydziałem w Polsce. Między innymi dlatego, że połączyliśmy kierunki medyczne z kierunkami eksperymentalnymi, czyli chemią i biologią. Z tego jestem dumny, ale nie tylko.

Wiele rzeczy trzeba było od razu zacząć procedować. Między innymi dużym problemem były sprawy własnościowe. Okazało się, że teren obecnego kampusu nie jest własnością UG, działały tu ogródki działkowe. Zresztą rok po objęciu przeze mnie funkcji, nim zacząłem prace związane z przejęciem tego terenu, ogródki działkowe zostały ustawą wprowadzoną przez SLD, które było u władzy, „uwłasnowolnione”,

czyli stały się właścicielem terenów i zaczął się problem. „Usunięcie” ogródków działkowych z terenu kampusu trwało 4 lata. Sprawa nie była prosta, dlatego że trzeba było wykupić te tereny, mimo że już w 1970 roku, w momencie utworzenia Uniwersytetu Gdańskiego, ten teren był wykupiony od ogródków działkowych, ale nowa ustawa spowodowała, że trzeba było jeszcze raz wykupować. Nie mieliśmy na to pieniędzy. Druga kwestia była taka, że chcąc wykupić teren, trzeba było zaoferować inny teren na ogródki w mieście. Trzeba było wejść w porozumienie z miastem. Całe szczęście miasto pomogło nam bardzo, bo zaproponowało tereny na obrzeżach Gdańska. Dopiero w 1994 roku udało się wykupić teren kampusu i od tej pory było możliwe myślenie o inwestycjach. Wcześniej nie wchodziło to w grę. Z drugiej strony cały szereg obiektów, terenów, na których były budynki uniwersytetu, nie były jego własnością, więc każdy kolejny teren, budynek trzeba było przejmować prawnie. Wymagało to nie tylko oczywiście współdziałania z miastem Gdańsk, ale także z Sopotem i Gdynią, bo przecież wiadomo, że w tych trzech miastach uniwersytet jest ulokowany. Całe szczęście, że prezydentami były osoby, które były chętne do wsparcia uniwersytetu i pomocy. Prezydentem Gdańska był Franciszek Jamroż, Sopotu Jan Kozłowski, a Gdyni Franciszka Cegielska. Krok po kroku przejmowaliśmy budynki i tereny. Wymagało to każdorazowo nie tylko współpracy z prezydentami, ale także odpowiednich uchwał Rad Miast Gdańska, Sopotu i Gdyni, co często nie było łatwe. W Sopocie miałem takie spotkanie z Radą Miasta, gdzie wcześniej mi zapowiedziano, że nie będzie łatwo uzgodnić przejęcia tych terenów. Przyznam, że przygotowałem się bardzo solidnie. Zaapelowałem bardzo patriotycznie, że to jest w interesie miasta, żeby uniwersytet istniał w Sopocie. W efekcie moje propozycje, które wtedy były omawiane na Radzie Miasta Sopotu, zostały przyjęte bez sprzeciwu. Jednym słowem, działania w sprawach własnościowych budynków trwały do 1995 roku. Dopiero w tamtym roku opanowaliśmy sytuację. Tu chciałbym podkreślić bardzo duże zaangażowanie ówczesnego dyrektora administracyjnego Jerzego Gwizdały w sprawy własnościowe.

Po przejęciu terenów od ogródków działkowych, czyli całego obecnego kampusu, było możliwe rozpoczęcie działań inwestycyjnych. Najpierw z prorektorami uzgodniliśmy, że pierwszym obiektem, który będzie budowany, będzie budynek Wydziału Prawa i Administracji. Wydział ten nie tylko nie miał żadnego własnego budynku, ale gnieździł się w warunkach wręcz skandalicznych. Wystąpiliśmy do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego o wyrażenie zgody oraz dofinansowanie inwestycji. Ogłosiliśmy konkurs na koncepcję zagospodarowania terenu kampusu, co było konieczne przed podjęciem odpowiedniej uchwały Rady Miasta Gdańska. Konkurs przeprowadziliśmy wspólnie z Gdańskim Oddziałem Stowarzyszenia Architektów Polskich. Wygrana propozycja nam się podobała, bo właściwie wszystkie budynki, które potem powstawały, powstawały w tych miejscach, gdzie według tej koncepcji było to planowane. Dlaczego mówię, że nie w tych kształtach? Dlatego, że od razu, w celach konkursu, podkreśliśmy, że co prawda ogólna koncepcja będzie własnością grupy architektów, którzy wygrają konkurs, ale bez praw autorskich do projektowania poszczególnych

gmachów. Szczęśliwie udało się wszystko załatwić. Potem już każdy budynek był projektowany oddzielnie, a różne grupy architektów wygrywały konkursy.

Kolejną sprawą, która była bardzo ważna, a która nie była związana z materialną stroną uniwersytetu, to były zmiany organizacyjne. Oczywiście były kierunki, wydziały, których nie trzeba było specjalnie mocno reformować. Funkcjonowały jak prawdziwe wydziały uniwersyteckie, ale były też jednostki organizacyjne, które wymagały po prostu zmian. Do takich między innymi należał Instytut Nauk Politycznych, który oczywiście w czasach peerelowskich był niczym innym jak Instytutem Filozofii Marksistowskiej, czyli – inaczej mówiąc – wszyscy członkowie, wszyscy nauczyciele akademicki musieli być z założenia partyjni i ten instytut obsługiwał cały uniwersytet w zakresie przedmiotów politycznych. Tam na pewno była potrzebna zmiana. Zwróciliśmy się do dwóch wybitnych politologów, profesora Zbigniewa Pełczyńskiego z Uniwersytetu w Oxfordzie i profesora Malanowicza z Uniwersytetu Warszawskiego, z prośbą o przygotowanie opinii na temat konieczności zmian. Obydwie opinie były takie, że należałoby rozwiązać instytut i powołać w to miejsce zupełnie nowe katedry. Jednym słowem, odpartyjnić tę instytucję i stworzyć z niej prawdziwą akademicką jednostkę organizacyjną. To trwało, mieliśmy bardzo burzliwe posiedzenia Senatu w tej sprawie. Z dużymi oporami, ale udało się to przeprowadzić i po rocznej dyskusji na Senacie Instytut Nauk Politycznych został zlikwidowany, a w to miejsce powołane katedry, które miały już zupełnie inny profil. To tylko jeden z przykładów działań organizacyjnych.

Problemem były też niektóre jednostki na Wydziale Ekonomiki Produkcji. Ten wydział miał wysoki stopień upartyjnienia, ale tam potrafiło się jakoś zorganizować i dokonać nie tylko wyborów władz wydziału, ale również zmian organizacyjnych. Tych zmian już nie potrzebował np. ówczesny Wydział Transportu Morskiego, bo przekształcił się w Wydział Ekonomiczny. Było tam sporo osób, które miały kontakty ze środowiskiem naukowym na świecie. Problemów z wydziałami reprezentującymi nauki eksperymentalne nie było z kolei żadnych.

Kolejnymi sprawami, które trzeba było reorganizować, zmieniać, to były sprawy finansowe. Początek lat 90., kiedy obejmowałem funkcję rektora, był fatalny dla uczelni. Dość powiedzieć, że kiedy uchwalaliśmy budżet, a właściwie prowizorium budżetowe na rok 1992, czyli na kolejny po objęciu przeze mnie funkcji rektora, to planowane wydatki, o ile dobrze pamiętam, sięgały rzędu 200–205 mld zł, natomiast dochody – 187 mld zł, czyli była duża luka. W związku z tym musieliśmy poczynić również przykre, ale konieczne działania, czyli cięcia budżetowe, co było bardzo źle przyjmowane, ponieważ i tak była zła sytuacja, ale część udało się przeprowadzić. Tym niemniej drżeliśmy właściwie każdego miesiąca, czy będziemy w stanie wypłacić pensje nauczycielom akademickim, pracownikom administracji i obsługi. Tak na przykład było w grudniu 1992 roku, kiedy jeszcze na początku nie byliśmy w stanie zapewnić wypłaty w pełnej wysokości. Dopiero uzupełnienie dotacji przez ministerstwo spowodowało, że sytuacja się poprawiła. Oczywiście w kolejnych latach były również problemy, ale panowaliśmy już nad tymi sprawami.

Chcę zaznaczyć, że sytuacja uczelni była wtedy zupełnie inna niż w późniejszych latach, bo nie było jeszcze pojęcia formy płatnych studiów, z których dochody można było przeznaczyć na różne cele dla uzupełnienia budżetu. To zaowocowało dopiero parę lat później. Sprawy finansowe były naprawdę szalenie trudne.

Co jeszcze należałoby wspomnieć? Na samym początku, mając doświadczenie z pobytu w różnych krajach, w związku z moją działalnością naukową, uznałem, że trzeba również powołać „Gazetę Uniwersytecką”. Nastąpiło to w 1991 roku, a pierwszy numer powstał w maju tego roku. Na redaktora naczelnego powołałem Adama Pawłowicza. Niestety, wydał on tylko jeden numer, ponieważ objął funkcję prezesa Informacji Telewizji Polskiej. Przeszedł do Warszawy i przez kolejne, bodaj trzy wydania, opiekunem kolegium redakcyjnego był dr Tadeusz Zaleski. Został on wcześniej powołany przeze mnie na kierownika nowo utworzonego Ośrodka Promocji Uniwersytetu Gdańskiego – promocja na zewnątrz wymagała powołania takiego ośrodka.

Miałem też doświadczenia z działalności w innych uczelniach zagranicznych. W maju 1991 roku odbyłem study tour po uniwersytetach w Wielkiej Brytanii, które finansowało British Council. Razem z innymi rektorami polskich uczelni zwiedziliśmy uniwersytety w Szkocji i w Anglii. Przedstawiano nam wszystkie sprawy związane z działalnością uniwersytetu i tu właśnie podkreślano konieczność informowania nie tylko wewnątrz uczelni, ale również na zewnątrz. Kolejną sprawą, którą na samym początku zdecydowałem się rozpocząć, było utworzenie Fundacji Rozwoju Uniwersytetu Gdańskiego. Z uwagi na brak pomocy finansowej uniwersytetowi ze strony środowiska zewnętrznego uznałem, że jest potrzeba powołania takiej fundacji, która będzie wspomagać Uniwersytet Gdański, szczególnie w tych rejonach, w których nie mógł on nawet prowadzić działalności komercyjnej. To stało się faktem. Do grona członków-założycieli zaprosiłem, już wybranego, prezydenta Lecha Wałęsę, biskupów Tadeusza Gocłowskiego i Mariana Przykuckiego, wojewodę gdańskiego Macieja Płażyńskiego. W efekcie na samym początku 1992 roku została utworzona Fundacja Uniwersytetu Gdańskiego. Już nie jako członkowie-założyciele, ale jako fundatorzy zgodzili się przystąpić również prezydenci miast Gdańska, Sopotu i Gdyni, co od razu ułatwiało pewne sprawy. Ta fundacja do tej pory działa. Myślę, że spełniła bardzo ważną rolę w życiu UG i oby tak dalej działała.

Kolejną fundacją, którą chciałem powołać, była Fundacja Herdera. Impulsem do jej utworzenia była dotacja miliona marek niemieckich przekazana przez prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera. Wizytował on Uniwersytet Gdański jeszcze za kadencji mojego poprzednika, profesora Jackowiaka. Jak chodzi o dotację to było zastrzeżenie, że ten fundusz musi być wydzielony na oddzielnym koncie, czyli – inaczej mówiąc – uczelnia nie może dowolnie z niego korzystać, bo będzie poświęcony wspomaganiu nauczania języka niemieckiego oraz kultury niemieckiej, czyli tego, co również było w zainteresowaniach uniwersytetu. Po rozmowach z ambasadorem RFN Johannesem Bauchem zaproponowałem odpowiedni statut tej fundacji. Do zarządu, poza przedstawicielem ambasady, gdyż Niemcy sobie zastrzegli wgląd w działalność tej

fundacji, weszli również kierownicy jednostek, które miały związek z językiem niemieckim, czyli Studium Języków Obcych, Katedra Germanistyki. A zatem te pieniądze mogły być wykorzystane na wzmocnienie szczególnie kierunku germanistyki. Kiedy obejmowałem funkcję rektora, opiekunem Katedry Germanistyki, niemającej żadnego samodzielnego pracownika, był profesor Zabłocki, łacinnik. W krótkim czasie, korzystając z funduszy, którymi dysponowała Fundacja Herdera, zaczęliśmy ściągać samodzielnych pracowników. W momencie kiedy kończyłem drugą kadencję, Katedra Germanistyki miała już 5 samodzielnych pracowników naukowych i rzeczywiście funkcjonowała w pełnym zakresie.

Kolejną rzeczą, o której chciałbym wspomnieć, to była współpraca uczelni. Uznaliśmy, że musimy działać w tych zakresach, gdzie ta współpraca nie tylko była potrzebna, ale wręcz konieczna. Taką sprawą była komputeryzacja. Zdecydowaliśmy w ramach trzech uczelni wspólnie utworzyć Trójmiejską Akademicką Sieć Komputerową. To zadziałało bardzo szybko, skutecznie i TASK spełnił ważną funkcję nie tylko w komputeryzacji naszych uczelni, ale dał także nowe możliwości dla dalszego rozwoju. To było rzeczywiście duże osiągnięcie, wspólne dla tych trzech uczelni. Kolejną rzeczą, którą w tym przypadku zorganizowaliśmy razem z Politechniką Gdańską, było Międzyuczelniane Laboratorium Magnetycznego Rezonansu Jądrowego. Aparatura rezonansu wiązała się z wydatkami przekraczającymi możliwości jednej uczelni. Utworzenie wspólnego centrum było więc koniecznością. Jeszcze w czasie pierwszej kadencji to centrum zostało utworzone po zakupie aparatury, i działa do tej pory, chociaż w międzyczasie zmieniały się nam o tyle możliwości, że każda uczelnia mogła już kupić z różnych źródeł własny aparat.

Współpraca w zakresie składu rektorskiego układała się wręcz idealnie, bo byliśmy w pełni świadomi nie tylko konieczności reformowania naszych uczelni, ale wiedzieliśmy, jak to zrobić i zgadzaliśmy się co do formy tych zmian. Przy czym moja sytuacja była utrudniona, ponieważ kiedy namawiałem profesora Macieja Żylicza do kandydowania, zapowiedział mi, że będzie mógł pełnić tę funkcję przez okres jednej kadencji, bo on nie może się oderwać od badań naukowych i w związku z tym kończy na pierwszej kadencji. W przypadku Pawła Adamowicza sytuacja wyglądała nieco inaczej. W międzyczasie zaangażował się już w działalność samorządową, został członkiem Rady Miasta Gdańska jeszcze w czasie tej kadencji. Również wyraził życzenie, że chciałby kontynuować pracę samorządową, co jak wiadomo, skończyło się objęciem przez niego funkcji prezydenta Miasta Gdańska, aż do jego tragicznej śmierci.

Myślę, że zarówno profesor Żylicz, profesor Synak czy Paweł Adamowicz, którego nie udało mi się namówić na zrobienie doktoratu, spełniali się w nowych funkcjach. Profesor Żylicz do tej pory jest prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, jednej z najważniejszych instytucji naukowych przyznającej tak zwane Polskie Noble. Z kolei Paweł, jak już wspominałem, kontynuował świetną karierę samorządową, a profesor Synak, z którym od razu uzgodniliśmy, że będzie kandydował również na drugą

kadencję, był wiceprzewodniczącym Sejmiku Samorządu Województwa Pomorskiego oraz przez dwie kadencje prezesem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Moi współpracownicy spełnili się więc zawodowo, również po odejściu z funkcji prorektorów. Nie miałem wątpliwości, że powinienem kandydować na drugą kadencję. Miałem szerokie wsparcie nie tylko macierzystego wydziału, który w międzyczasie przekształcił się w Wydział Matematyki i Fizyki oraz Wydział Chemii, ale również osób, które były dla mnie wzorem nauczyciela akademickiego oraz wzorem człowieka. Do tych, jak powiedziałem już wcześniej, należał profesor Janusz Sokołowski, profesor Robert Głębocki oraz profesor Czesław Jackowiak. W momencie wyboru spotkaliśmy się, żeby omówić ich oczekiwania dotyczące tego, co należałoby robić i szybko uzgodniliśmy, że będziemy co miesiąc spotykać się na wieczorne brydżowym kolejno w domu każdego z nas, gdzie poza grą mieliśmy okazję do wymiany poglądów, a nawet podsuwania różnych propozycji. To trwało do momentu przedwczesnej śmierci profesora Jackowiaka.

W międzyczasie musiałem poszukać nowych kandydatów na prorektorów. Po długich rozmowach zostali nimi profesor Jan Burnewicz z Wydziału Ekonomicznego i profesor Ciechanowicz-McLean z Wydziału Prawa i Administracji. W tym składzie, włączając w to oczywiście profesora Synaka, dotrwałem do końca drugiej kadencji, która była już mniej „kłopotliwa”. Sytuacja się stabilizowała, nawet finansowanie wróciło do normy, a większość problemów była rozwiązana lub szła w dobrym kierunku.

Mając już wynik konkursu na zagospodarowanie terenu kampusu, zwróciłem się z wnioskiem do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego o sfinansowanie budowy Wydziału Prawa i Administracji. Z pieniędzy UG było to absolutnie niemożliwe. Wybraliśmy się w trójkę, to jest z profesorem Synakiem i Jurkiem Gwizdałą, do ówczesnego ministra, profesora Ryszarda Czarnego, żeby przekonać go o słuszności wniosku. To była bardzo trudna rozmowa, która trwała w sumie około 4 godzin. Minister bronił się, że nie ma pieniędzy, więc w pewnym momencie nawet użyłem takiego argumentu – wracam do Gdańska, robię konferencję prasową i ogłaszam, że ministerstwo nie chce wspomóc Uniwersytetu Gdańskiego, bo profesor Czarny jest z SLD, a w Gdańsku powstała Solidarność. Jednym słowem – przyczyny polityczne. Po takich długich rozmowach minister wyraził zgodę. Została przyznana najpierw kwota 40 mln zł w nowych nominałach, które zostały „zamknięte” w tej inwestycji, ale z uwagi na czas i inflację te pieniądze nie wystarczyły, a więc mój następca również musiał załatwiać środki w ministerstwie na dokończenie tej inwestycji. Zdążyliśmy podpisać umowę o rozpoczęciu budowy Wydziału Prawa i Administracji, mając już decyzję ministerstwa, a wszystkie formalności zostały zakończone 31 sierpnia 1996 roku, czyli w ostatnim dniu mojego urzędowania, co zresztą potem było kwestionowane, że zrobiliśmy coś, czego absolutnie nie powinniśmy byli robić. Chodziło jednak o zamknięcie tego etapu i żeby sprawy toczyły się już normalnie.

Jeszcze jedna kwestia dotycząca komputeryzacji. Mianowicie na skutek dotacji Instytutu Bellona ze Stanów Zjednoczonych w kwocie 500 tys. dolarów na komputeryzację

bibliotek polskich – ta kwota została zdeponowana na koncie Uniwersytetu Gdańskiego – byliśmy jak gdyby organizatorem porozumienia sieci uczelni o komputeryzacji bibliotek uniwersyteckich. To była pierwsza komputeryzacja rozpoczęta w bibliotekach polskich. Dzięki temu nie tylko przyspieszyło ten proces na naszym uniwersytecie, ale stało się to także na Akademii Górniczo-Hutniczej, a więc początki komputeryzacji zbiorów bibliotecznych przypadają również na czas mojego rektorowania.

DB: Przeglądając w archiwach protokoły Senatu z dzisiejszej perspektywy, perspektywy współczesnych studentów, trudno uwierzyć, że przybycie jednego komputera do instytutu było wówczas ogromnym wydarzeniem. Dziś mamy ich mnóstwo, więc IBM nie robi już takiego wrażenia. Czy to prawda, że doktor Czermiński również brał w tym udział?

ZG: Chciałbym wspomnieć kilka słów o doktorze Czermińskim. Na początku lat 90. odbywał on staż podoktorski w Stanach Zjednoczonych. Wrócił z niego z prywatnym komputerem, który służył mu do celów dydaktycznych na Wydziale Chemii. Jego doświadczenie spowodowało, że nie tylko został powołany na przewodniczącego Stowarzyszenia Bibliotek Uniwersyteckich, które były komputeryzowane. Także jego możliwości, jego doświadczenie zostało w tej formie wykorzystane. Spotkałem go jakiś czas temu na obchodach 60-lecia Koła Naukowego Chemików, gdzie wróciliśmy do pewnych spraw, które wspólnie rozwiązywaliśmy w latach 90. Bardzo mi go wspominam. Jego żona, profesor Czermińska, była tą osobą, która poleciła mi Adama Pawłowicza na stanowisko redaktora „Gazety Uniwersyteckiej”. Co ważne, „Gazeta Uniwersytecka” była pierwszą gazetą wydawaną przez uczelnie polskie po 1990 roku. Potem powstawały oczywiście kolejne gazety. Tadeusz Zaleski zorganizował rok albo dwa lata później zjazd redaktorów tych uczelnianych gazet, który odbył się u nas w Gdańsku.

DB: Miałem przyjemność kilka lat temu przeprowadzić wywiad z doktorem Zaleskim o jego działalności na uczelni i o „Gazecie Uniwersyteckiej”, więc wiem, że to była wielka rzecz.

ZG: Wspominając żonę doktora Czermińskiego, chcę powiedzieć, że po odejściu Adama Pawłowicza do Warszawy, to ona podsunęła mi kandydaturę profesor Jolanty Rutkowiak na redaktora „Gazety Uniwersyteckiej”, która po objęciu stanowiska pełniła tę funkcję aż do końca mojej drugiej kadencji. Bardzo mi go wspominam ją i sposób, w jaki prowadziła „Gazetę Uniwersytecką”.

DB: Panie Rektorze, przejdźmy do kolejnego pytania. Wspomniał Pan o całym gronie osób, które odgrywały dużą rolę w Pana pracy na uczelni, ale czy kogoś chciałby Pan szczególnie wyróżnić? O kimś jeszcze wspomnieć spośród tych osób, z którymi Pan współpracował, które stanęły na Pana drodze?

ZG: Przede wszystkim chcę wspomnieć chemików – profesora Janusza Sokołowskiego, mojego promotora profesora Bogdana Liberka, profesora Gotfryda Kupryszewskiego,

który pełnił funkcję prorektora w pierwszej kadencji po utworzeniu UG. To były osobowości, które decydowały o życiu i istnieniu Instytutu Chemii. Na nich się wzorowałem i byłem przez nich również promowany. Wspominam bardzo ciepło jedną rzecz związaną z moją habilitacją w 1975 roku. Tutaj muszę zaznaczyć, że moja praca habilitacyjna, która była warunkiem kolokwium habilitacyjnego, została wydana w 1973 roku po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, ale ponieważ wniosek o uzyskanie zgody na skierowanie moich dokumentów habilitacyjnych na wydział innej uczelni, która posiadała odpowiednie uprawnienia, spotykał się z odmową przy argumentacji ówczesnego dziekana, że Wydział Chemii ubiega się o uzyskanie tych uprawnień, habilitowałem się z dwuletnim opóźnieniem. Po kolokwium habilitacyjnym podszedł do mnie profesor Sokołowski i powiedział „Słuchaj, jestem Janusz. Od tej pory nie mówmy sobie po nazwisku”. Czułem się naprawdę wyróżniony, bo był to dla mnie autorytet.

Na Chemii lub na Fizyce praca doświadczalna i dydaktyczna pochłaniała tak wiele czasu, że kontakt czy współpraca z innymi jednostkami była ograniczona, a więc z osobami z pozostałych wydziałów utrzymywałem luźny kontakt. Tym niemniej dobrze wspominam profesora Taylora z Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii. Powinienem wspomnieć tu o pogrzebie studenta pierwszego roku chemii zamordowanego przez Milicję Obywatelską. Podczas jego pogrzebu w Olsztynie przemawiał profesor Taylor, który w swoim wystąpieniu nawiązywał do tego, co się stało. Było to powodem jego karnego odwołania przez ministra. Wszyscy proktorzy profesora Taylora również złożyli wówczas rezygnację.

Jeśli chodzi o ludzi spoza uczelni to wzorcem działania, szczególnie na niwie naukowej, był dla mnie docent Emil Taszner. Ciekawa postać, ale to rzecz na dłuższą rozmowę. Był moim recenzentem zarówno w rozprawie doktorskiej, jak i w rozprawie habilitacyjnej. To on de facto rozkręcił pracę naukową na Politechnice Gdańskiej, tworząc zespół, który działał w zakresie chemii, peptydów i białek. U niego robili doktoraty mój szef profesor Liberek, profesor Kupryszewski, a więc główny kościół Chemii na UG wywodził się z Politechniki i właśnie od profesora Tasznera. Wypromował on wiele osób i właściwie od jego czasów działalność naukowa ruszyła z kopyta. Ośrodek Gdański, najpierw na Politechnice, potem na WSP, stał się ośrodkiem o renomie międzynarodowej. Zaczęliśmy uczestniczyć w konferencjach, sympozjach, zjazdach naukowych za granicą. Byliśmy widziani, cytowani i nawiązywaliśmy dobre współpracy. Temu zawdzięczam, że moja praca naukowa szła łatwo, szybko i bardzo owocnie. Miałem łatwość nawiązywania kontaktów we współpracy z ośrodkami zagranicznymi. Z naszej strony byliśmy bardzo dobrzy w syntezie związków, w badaniach strukturalnych i badaniach fizykochemicznych. Natomiast w przypadku mojej dziedziny, czyli chemii aminokwasów, peptydów i białek, ważną część stanowią badania biologiczne, głównie medyczne, a tutaj niestety moje możliwości były ograniczone. Ułatwiała je jednak współpraca z ośrodkami zagranicznymi. Wystarczyła krótka rozmowa z kimś, kto mnie zainteresował na jakimś zjeździe czy sympozjum,

żeby od razu zapadła decyzja – robimy wspólnie badania. Tych badań było w postaci publikacji w międzynarodowych czasopismach ponad 150, co świadczy o tym, że zawiązywane współprace były bardzo owocne. Szczególnie dobrze wspominam współpracę z ośrodkami niemieckimi, szwedzkimi, francuskimi, amerykańskimi i włoskimi. Powiedziałbym, że żyłem z tych badań naukowych w tym sensie, że to mnie napędzało, nakręcało i owocowało. Wypromowałem w sumie 25 doktorów. Część z nich zrobiła karierę, część rozproszyła się po świecie. Kiedy odchodziłem na emeryturę, chciałem, żeby wszyscy moi doktorzy uczestniczyli w uroczystości pożegnalnej, która odbyła się na Sobieskiego. Z wyjątkiem jednej osoby, która nie mogła w tym czasie przylecieć ze Stanów Zjednoczonych, wszyscy byli obecni.

DB: Panie Rektorze, a gdyby miał Pan wskazać jedno osiągnięcie naukowe, z którego jest Pan najbardziej dumny, to co by to było?

ZG: Wybiorę jedno, które jest moim zdaniem bardzo ważne i zaczęło się w Stanach Zjednoczonych, chociaż dotyczyło bezpośrednio współpracy ze Szwecją. Po wygłoszeniu odczytu w Instytucie Badań nad Rakiem pod Waszyngtonem na temat łączonych badań chemiczno-biologicznych, poznałem Mariusza Jaskólskiego, krystalografa z Poznania. Pochwalił moje wystąpienie, ale od razu zrodził się w mojej głowie pewien pomysł. Od dłuższego czasu poszukiwałem osoby, która mogłaby wykonać badania krystalograficzne, ponieważ obszar moich zainteresowań badawczych zaczął się wówczas koncentrować na białkach, gdzie badania krystalograficzne to jedna z podstawowych metod badawczych. Natychmiast się zgodził. Po powrocie przyjechał do mnie i uzgodniliśmy naszą współpracę. W międzyczasie nawiązałem również współpracę z profesorem Andersem Grubem, który był wówczas w Uppsali, ale pracował na Uniwersytecie w Lund. Początkowo nasza praca nie dotyczyła białek, a pochodnych peptydów, które miały być inhibitorami enzymów. Zaproponowałem Andersowi, by połączyć wraz z Jaskólskim nasze siły i wykorzystać badania krystalograficzne nad cystatyną C – białkiem, które jest enzymem i najważniejszym inhibitorem regulującym cały szereg funkcji w organizmie. Chcieliśmy wykrystalizować białko i oznaczyć jego struktury, co zresztą w krótkim okresie nam się udało, a przy okazji odkryliśmy coś ciekawego. Mianowicie zamiast struktury monobiałka wyszła struktura dimeru, czyli podwójnego białka. Okazało się, że ten dimer jest powodem dalszej agregacji białka, ponieważ przyczyniał się do wystąpienia śmiertelnego dla człowieka krwotoku międzymózgowego. W przypadku gdy dany pacjent miał mutację cystatyny C i jeden aminokwas był zmieniony na inne, wystarczyła gorączka, by doprowadzić do śmiertelnego dla tej osoby krwotoku. Kiedy to odkryliśmy, okazało się, że cystatyna C jest dobrym modelem do badania agregacji białek przyczyniającej się do powstawania przede wszystkim wielu chorób neurodegeneracyjnych, między innymi Alzheimer, Parkinsona czy właśnie krwotoku międzymózgowego. Z tego wspólnego osiągnięcia jestem naprawdę dumny. Ta praca krystalograficzna, która ukazała się zresztą w czasopiśmie „Nature”, była i jest cytowana do tej pory w olbrzymiej liczbie publikacji naukowych, co jest naprawdę dużym osiągnięciem.

DB: Panie Rektorze, pytanie na koniec z lekkim przymrużeniem oka. Przeanalizowałem poczet rektorów Uniwersytetu Gdańskiego i wynika z niego, że jedna trzecia z nich pochodziła z Wydziału Chemii, począwszy od profesora Sokołowskiego. Wydziałów jest znacznie więcej, jednak reprezentacja chemików jest bardzo widoczna. Dlaczego tak wielu rektorów pochodziło właśnie z Wydziału Chemii?

ZG: Zmieniłbym troszeczkę to stwierdzenie – nie jedna trzecia, ale przez połowę czasu funkcjonowania Uniwersytetu Gdańskiego zarządzali nim chemicy. Sądzę, że wynikało to z dobrego kształcenia ludzi na kierunku chemii najpierw w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a potem na Uniwersytecie. Wzorce osobowe, przymuszanie do intensywnej pracy naukowej, to wszystko owocowało nie tylko działalnością naukową, ale również budowało ludzi w sensie pracy organizacyjnej, pracy dla środowiska, współpracy. Wszystko to przyczyniało się do tego, że kandydaci z kierunku chemii byli często wskazywani jako pierwsi na stanowiska rektorskie. Profesor Taylor również był w jakimś sensie powiązany z Wydziałem Chemii. Był biochemikiem, ale zaczynał studia chemiczne.

DB: Czyli ten związek nauki z działalnością organizacyjną jest tutaj bezpośredni. Panie Rektorze, bardzo dziękujemy za rozmowę.

Biogram

Zbigniew Grzonka – prof. dr hab., chemik, absolwent Politechniki Gdańskiej, zastępca dyrektora Instytutu Chemii na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii UG w latach 1975–1978, dyrektor tego Instytutu w latach 1981–1987, dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii w latach 1987–1990. Rektor UG w latach 1990–1996. Specjalista w zakresie chemii organicznej, aminokwasów i peptydów. Autor ponad 150 publikacji naukowych.